

## *Niewłączone do Księgi Psalmów*

*Nad rzekami Babilońskimi, tamęśmy siadali  
i plakali, wspominając na Syjon.*

*Psalm 137*

Siedzieliśmy nad wodami Kwisy, było upalne lato, piąte po wojnie, kościotrupy kamienie spalonych do ostatniej cegły, myszkowaliśmy po piwnicach. МИН НЕТ! – nie wywietrzył odór spalonych ciał, dotknąłem kamienia tuż przy betonowym dnie piwnicy, był ciepły, „ciekawe, powiedział Dzidek, jak długo kamień przechowuje pamięć ognia”

w jego jak i moim poniemieckim domu zobaczyłem niespotykane starego człowieka w palcie (było lato!) i czapce naciśniętej na uszy, spisującego nie mający końca korowód nazwisk, Dzidek: „spisuje wszystkich mieszkańców Kołomyi, jakich zapamiętał, a znał ich tysiące, budował mosty i wiadukty w powiecie, a nawet dalej, zapisał już całą walizkę papieru prośbowego”;

siedzieliśmy nad wodami Kwisy mocząc nogi o zdeptanych stopach, mytych byle jak wieczorem pod nieuważnym wzrokiem matki, zrogowaciałe, popękane pięty, skóra jak zelówka nie miękła, gdy nasze jedenastoletnie ciała pluskały się w statecznym nurcie Kwisy, leżeliśmy na wznak, lekko poruszając dłońmi, niczym płetwami, z ciężkim słońcem na wargach, z marzeniem w zmrużonych oczach, by prąd poniósł nas do morza, tego lub tamtego, jakie to były morza, żywe czy martwe, nie ja, lecz pamięć nie pamięta;

siedzieliśmy, Dzidek (zmarł tej wiosny, zastanawiam się jak długo prochy przechowują pamięć ognia), i ja

(←

pośród całych rodzin z i spod Kołomyi, Tarnopola,  
Drohobycza, a nawet z Bukowiny, kobiety w majtkach  
i biustonoszach, dzieci na golasa, mężczyźni w spodniach  
i gimnastycznych koszulkach, ponad głowami hasały  
motyle, czasem zabuczał na najniższej strunie trzmiel  
opity bimbrem spływającym z szyjek niezatkanych butelek,  
mężczyźni grali w karty, milcząc, zrzucali je z furją,  
jak broń długą i krótką, kiedy wychodzili z lasów,  
czasami któryś się nagle zapatrzył gdzieś, w jakiś punkt,  
w jakąś dal, z kartą w ręce, która, jakby ją nagle odcięto,  
przemierzała rozległe przestrzenie od morza do morza,  
ale jakie to były morza, żywe czy martwe, nieważne,  
bo już nikt nie myślał o ucieczce ni morzem,  
ni lądem;

nie harfy wieszaliśmy na wierzbach, ale mokre gatki  
i halki, czasem któraś przeprała jedwabne pończochy,  
poruszały się w nieruchomym powietrzu z cichym  
szelestem budząc w nas już nie dzieciach, po prostu  
chłopkach słodki dreszcz;

nie śpiewaliśmy, bo jakże mieliśmy śpiewać, skoro –  
słowa są Dzidka – nasze pieśni zostały tam, nad  
Czeremoszem, na polach kukurydzy, w łąkach jęczmienia,  
w oślepiającej bieli ziemniaków wyrywanych z nacią  
z ziemi czarnej i tłustej, w srebrnych kłosach pszenicy,  
w zapatrzonych prosto w słońce słonecznikach,  
w studniach, w które wrzyskiwaliśmy nasze  
imiona, aby dotarły do podziemnych miast,  
w wysokich trawach, w których zaplątywały się  
nasze psy, jakże mieliśmy śpiewać, skoro każdy  
chciał, aby jego serce owinięte w liść łopianu,  
pochowano tam, gdzie, a było to pewniejsze niż śmierć,  
nigdy więcej jego stopa nie postanie; nie pozwolą  
na to duchy żołnierzy radzieckich, które wychodziły  
z grobów na szczycie Kamiennej Góry na nocny patrol,  
czasem ktoś zderzył się z duchem, bywało, że chciał  
go wyminąć, próbował z lewa, z prawa, w końcu

←

usłyszał jakby dochodzące z głębokiej studni:  
*spoj s nami – tiomnaja nocz', tolko puli swistajut*  
*w dali, tolko puli swistajut...*

Jakoż mamy śpiewać, mówili ludzie siedzący nad  
wodami Kwisy, my, wygnańcy w ziemi cudzoziemców,  
niech przyschnie język mój do podniebienia mego,  
mówi we śnie stary człowiek w grubym palcie,  
w czapce (lato!) naciśniętej na uszy, ba, myśli  
strapiony, jak ma przyschnąć,  
skoro mi go wyrwano.